



Nr. 21.

22-go Maja

1913.

CUDOWNY WYNALEZEK.

(Dokończenie).

Miliarder nawet głowy nie zwrócił w tę stronę i tylko zgrzytnął zębami.

— Ja tu jestem bezpieczny w krzakach, więc posłuchaj pan...

Pan Goldbrooks spojrzał przypadkowo w obłoki i naraz cała sytuacja stanęła mu jasno przed oczyma. On tu stoi beczynnym a jego sekretarz tymczasem z jego córką może już jest u sędziego. Tysiączne myśli przeleciały mu błyskawicą przez głowę. On musi temu przeszkodzić! Zwrócił się nagle do służących i krzyknął:

— Janie!

— Do usług pańskich!

— Zbudź załogę! Niech mój jacht zaraz będzie gotów do wyruszenia!...

— Ja... ja... nie mogę...

— Ty... co???

— Na okręcie nikogo niema tylko... kucharz.

— A gdzie tamci?

— Dostali urlop na dziś i na jutro, pan sam im pozwolił...

— To powiedz, niech statek gazolinowy będzie gotowy!

— Ja nie mogę!

Miliarder wytarł oczy i wypatrzył się na Jana.

— Statek gazolinowy dzisiaj rano wzięto do naprawy, niema go tutaj...

— Nie... niema go?! — zaryczał pan Goldbrooks.

— Nie, jest w drodze do Nowego Yorku, wyjął przestraszony Jan.

Miliarder poczerwieniał, potem posiniał, twarz mu nabrzmiała, a oczy zdawały się całkiem wylać z głowy, Jan ze strachem pomyślał:

„Szląg go trafił!” — ale pan Goldbrooks był z innego materiału zrobiony. Otrzymał się jak pies po wyskoczeniu z wody i mruknął:

— Zatelefonuj... — a głośno dodał: — Idź do domu i zatelefonuj do... Hm... do kogo telefonować? Gdzie ich szukać? Ten przeklęty napowietrzny koń mógł z nimi zalecieć Bóg sam wie, gdzie!

Do którego sędziego telefonować? Do którego miasta?

— Do kogo mam telefonować? — zapytał Jan.

— Do nikogo! — krzyknął pan Goldbrooks. — Idźcie wszyscy wzdłuż brzegu i wynajmijcie lub kupcie za wszelką cenę pierwszy statek, jaki ujrzycie...

Słudzy zniknęli w jednej chwili, jakby ich wiatr zdmuchnął.

— To i tak nic nie pomoże, panie Goldbrooks, — zawołał z krzaków pan Samuel Biffs.

— Co?! — krzyknął miliarder, który o geniuszu z Arizony był na chwilę zapomniawszy.

— Ja mówię, że to nic nie pomoże, bo nawet przez telefon nie mógłby pan powstrzymać ślubu.

— Ale za to pokażę temu, który...

— Co to pomoże, jeżeli będzie już po ślubie? Ja...

— Biffs! — wrzasnął pan Goldbrooks.

— A co?

— Chodź tu! Ja chcę z tobą pomówić.

Krzaki zaszeleściły trochę bliżej i dał się wyraźniej słyszeć głos geniusza z Arizony.

— Panie Goldbrooks!...

— No?!

— Ja wyjdę, ale... pan mnie nie... dotkniesz?

— Tak myślisz?

— Ja mogę uciekać tak, jak zając, a pan tłusty i ociężały, więc pan mnie nigdy złapać nie potrafi, a tymczasem, jeżeli ja nie będę uciekał, to mogę się panu na coś przydać...

Pan Goldbrooks zastanowił się na chwilę. Zawsze on umiał sam sobie radzić, ale teraz znalazł się w takim położeniu, że jeden jedyny człowiek, który mógł mu pomóc, był... Biffs. On jeden znał się na aerolinii i on jeden mógł urządzić napowietrzny pościg.

— Biffs! — krzyknął raptem miliarder.

— A co?

— Przyjdź tu!

— A nie ruszy pan mnie?

— Nie.

— Słowo honoru?

— Słowo honoru!

Gałęzie krzaków się rozchyliły a wśród nich w całej swojej 6 stopowej okazałości ukazał się pan Samuel Biffs, wynalazca aeroliniliny i geniusz z Arizony. Pan Goldbrooks podbiegł do niego i zawołał:

— Biffs! Tyś tego piwa nawarzył!

— Tak, panie Goldbrooks.

— Wprawdzie ten Wiggs jest dobry i dzielny chłopak, ale ja go nie chcę na zięcia. Tymczasem oni tam lecą, a ja tu stoję bezczynnie. Radź!

— Dawno chciałem to zrobić, ale pan...

— Nie trać czasu na gadanie! Mów, co?

— Możesz pan puścić się za nimi w pogoń tą samą drogą, a jeżeli pan się boi, to ja polecę i będę prosił, będę perswadował...

— Nie potrzeba! Ja sam polecę, pokaż tylko jak.

Pan Samuel Biffs skoczył jak z procy i za chwilę pokazał miliarderowi coś takiego, co wyglądało jak końskie chomonty.

— Jest to cudowny napowietrzny skoczek. Nazwałem go tak, bo pan w nim możesz na powietrzu chodzić, biegać, skakać...

— Dawaj! dawaj prędzej! — wołał gorączkowo miliarder.

Pan Samuel Biffs ubrał pana Goldbrooks w te chomonty i nawet tak, jak na konia wołał: „teraz lewa noga do góry!” — „a teraz prawa!” — itd., poobwijał go całego paskami, potem przyniósł swoją rurę do pompowania i połączył z zawieszonym na grzbiecie woreczkiem.

— Prawy sznurek trzeba pociągnąć, jeżeli pan chce na dół zlecieć, a lewy, jeżeli pan chce do góry. Wolne ciągnięcie, wolne lecenie, mocne...

— Spiesz się! — huknął miliarder.

Pan Biffs nerwowym ruchem nacisnął pompę i w tej samej chwili wydał okrzyk przerażenia. Pan Goldbrooks, wyciągając rękami i nogami, znalazł się w 1 ćwierci sekundy na wysokości 100 stóp w powietrzu. A nie było w dodatku wzlot naturalny, gdyż jakimś niewytłómaczonym sposobem worek z grzbiotu przesunął się w okolice nóg, które teraz były wyciągnięte ku niebu, a głowa zwisała prostopadle ku ziemi. Znalazł się biedak zupełnie w takim samym położeniu, jak geniusz z Arizony, gdy robił pierwsze swoje doświadczenie w jego ofisie.

— Biffs! Biffs! Spuść mnie na dół! Weź mnie na dół, a nie, to ja ciebie...

— Prawy sznurek! Ciągnij prawy sznurek i staraj się obrócić głową do góry a potem chodź tak, jak po ziemi!

Zdaje się, że wskazówka Biffsa została wysłuchana, bo pan Goldbrooks w mgnieniu oka stanął głową do góry, ale równocześnie piorunem spadł na ziemię z wysokości 400 stóp.

— Już po nim! — jęknął nieszczęsny wynalazca. Nagle rozszerzył oczy i szepnął do siebie: „On się zatrzymał na gałęziach drzewa!”

Czempredziej podbiegł pod drzewo i zadzierając do góry głowę zapytał bardzo słodkim głosem:

— Czy... czy pan upadł? — panie Goldbrooks.

— Nie, ja nie upadłem, ja to tylko zrobiłem dla pana!... doświadczenie dla nauki!

W tej chwili zaszeleściły gałęzie i na głowę pana Biffsa spadły te wszystkie pasy, którymi był obwinał miliardera i rozwinawszy się, otoczyły go swolmi zwolami. Pan Samuel Biffs czempredziej zaczął je ze siebie ściągać i zdołał się od nich uwol-

nić właśnie w tej chwili, gdy pan Goldbrooks z najniższej gałęzi zeskoczył na ziemię.

— A co? nie mówiłem, że zawsze niespodziewany przypadek może się wydarzyć? — odezwał się pan Biffs.

Pan Goldbrooks nic nie odpowiedział, lecz podszedł na trzy kroki do wynalazcy i patrząc na niego żbiczym wzrokiem, rzekł ponuro:

— Jeżeli chcesz zrobić testament, albo przesłać do kogo ostatnie swoje słowa, to...

Tu urwał pan Goldbrooks, bo oczy pana Biffsa wpatrzyły się w jakiś punkt poza plecami miliardera a twarz nieszczęsnego wynalazcy oblokła się śmiertelnym strachem. Nagle pan Samuel Biffs, geniusz z Arizony wydał ze siebie jakiś krzyk ludzki, obrócił się błyskawicznie na miejscu i poedził jak grzech śmiertelny.

Pan Goldbrooks mimowoli spojrzał tam, gdzie patrzył Biffs i instynktownie wskoczył także w krzaki, bo od domu, sapiąc jak lokomotywa, z niewypowiedzianą złością w twarzy a ostrym, na dwie stopy długim nożem w rękę, biegł... kucharz. Dojrzał on widocznie uciekającego Biffsa, bo zaczął wrzeszczeć:

— Będziesz sobie ze mnie żarty stroił? Do nieba wysyłał? Na pośmiewisko narażał?!

— Johann! — zawołał Goldbrooks, któremu nagle przyszło do głowy, że gdy kucharz zamorduje Biffsa, to będą potem śledztwa, kłopoty, sądy, gazety...

— Już więcej tego na tym świecie nie uczynisz! — ryczał kucharz i znikł za krzakami.

Jeszcze się pan Goldbrooks nie namyślił co ma czynić, gdy z poza drzew wyskoczył pan Biffs i pochwyciwszy jakiś zupełnie prosty przyrząd z woreczkiem przypiął go sobie, przyłożył pompę a potem krzyknął:

— Tylko jedna minuta czasu! Ratuj pan! Ściągnij mi trzewiki!

Miliarder oczy wytrzeszczył, bo nie zwykł był ludziom trzewiki zdejmować, ale Biffs nastawił nogę i krzyknął:

— Ciągnij pan! On już tu, o sto kroków! — i pan Goldbrooks pociągnął.

— Drugi! drugi! — wołał rozpaczliwie Biffs. — On już tu! — o 10 kroków!...

Równocześnie rozległ się ryk kucharza: — Mam cię!

Pan Goldbrooks chwycił za trzewik i w tejże sekundzie.... usiadł na ziemi z drugim trzewikiem pana Biffsa w rękach, ale też i z dużym guzem na czole, który mu zadał Biffs, gdy fiknął, chcąc się najprędzej wyrwać. Za to, gdy rozwścieklony kucharz chciał nożem rozedrzeć serce, przeszył tylko próżne powietrze, bo pan Samuel Biffs, geniusz z Arizony, jak kula wypuszczona z karabinu frunął prosto do nieba i po kilku chwilach zniknął zupełnie z oczu.

— Johann! więc ty wróciłeś? A co się z tem krzesłem stało?

— Jeszcze o to przekłete krzesło miałem dbać? Ledwie dotknąłem nogą ziemi, samo poleciało do nieba a raczej do piekła.

I wywijając nożem i przeklinając Biffsa odszedł kucharz do kuchni. Pan Goldbrooks nie zmienił pozycji: siedział tak, jak go Biffs zostawił, przecierał oczy a wreszcie pomyślał: „E, to wszystko musi być snem! Przecie to są rzeczy, niepodobne!”

Nagle usłyszał nad sobą głosy:

— Witaj teściu! — wołał Karol Wiggs.

— Halo! — papa! — wołała Adelka już teraz także Wiggs.

Spuścili się na ziemię i zeskoczyli z cudownego rumaka, który w tej samej chwili lotem strzały wznosił się w obłoki.

Młodzi ukłękli przed siedzącym miliarderm, który po chwili namysłu położył swoje ręce na ich głowach i rzekł poważnie:

— Błogosławie wam, moje dzieci!

Po kilku tygodniach ogłosił we wszystkich gazetach prośbę, aby pan Samuel Biffs, geniusz z Arizony zgłosił się do niego, ale to się na nic nie przydało. Pan Samuel Biffs musiał polecieć na księżyc a może też osiedlił się na Marsie.

— A jednak to był cudowny wynalazek ta aerolinilina! — mawiał nieraz później do swoich dzieci miliarder Goldbrooks.

Karol i Adela zupełnie się z tem zdaniem zgodzili.



Z IZBY SĄDOWEJ.

Sędzia: Byliście kilkakrotnie karani za kłusownictwo, czy tak bardzo wam smakuje pieczony zając?

Kłusownik: Z pieczeni zajączej nie wiele sobie robię, lecz ze sosu delikatnego, który moja żona przyrządza.



NA WSZECHNICY JAGIELLOŃSKIEJ.

— Dlaczego to kolega zapisałeś się, jako narodowości „żydowskiej“?

— Widzi pan, jeden z moich braci mieszka w Kijowie i jest tam Rosyaninem, drugi w Jassach — Rumun, siostra przebywa w Budapeszcie, jako Węgierka, ojciec jest w Wiedniu, niby Niemiec, matka w Warszawie, mówi, że Polka, więc pomyślałem sobie, iż w takiej żydowskiej rodzinie, jak nasza, musi choć jeden członek być żydowskim żydem.



CZUŁA ŻONA.

Mąż (wchodząc do mieszkania): Oj, jo! uj, oj!

Żona: Co się stało?

Mąż: Spadłem do piwnicy ze wszystkich schodów!

Żona: Potłukłeś mi słoiki z konfiturami?

Mąż: Nie!

Żona: To czego się tak drzesz? Ze strachu, mało co ze skóry nie wyskoczyłam!



PRZEPOWIASTKI WIGILIJNE.

Na wilię koło panny kto zbyt blisko siedzi,
Ten pewnie na Trzy Króle da na zapowiedzi...
W Gromniczną straci wolność —

a na Zmartwychwstanie
Zazwyczaj są już kwasy... ha! często i pranie!



SZKODLIWA SKROMNOŚĆ.

A.: Dlaczego od pewnego czasu tak rzadko przychodzisz do państwa Smakoszów? Wszak jedzenie u nich wprost znakomite!

B.: Tego też bynajmniej nie przeczę. Ale otwarcie ci wyznam, że wołałbym, aby więcej naglili do jadła. Bo ja jestem taki skromny, że gdy mało proszą, to mało jadam i nieraz głodny wracam do domu.



PRZED BURZĄ WOJENNĄ.

— Tem małym miasteczkiem rządzi właśnie rabbin K.

— To jeszcze nic, ale tylko patrzeć, jak całą Europą zaczniesz rządzić ka-rabin.



ZAŻDROŚĆ UKARANA.

Żona (do męża, przeglądającego przyniesione listy): Pokaż-no ten list!

Mąż: Jaki list?

Żona: Ten, który właśnie odłożyłeś. Poznałam go po piśmie, że to jakaś damska ręka. Zbladłeś nawet, czytając. Daj mi go zaraz!

Mąż: Oto masz i czytaj. Jest to rachunek od twojej krawcowej.



Wytrwały Mars



Anioł pokoju do Marsa, bózka wojny: Czy nie byłby pan łaskaw zleść nareszcie i mnie puścić na swe miejsce? ludzie przecież już się stęsknili za mną i chcieliby mnie widzieć...

W DOMU NAJLEPIEJ.

Pewien włóczęga, który z powodu zbyt „długich palców” więcej czasu przesiedział pod kłuczem, jak na wolności, krótko po odsiedzeniu ostatniej kary został znów schwytany na gorącym uczynku, osądzony i przetransportowany do więzienia. Z dyrektorem, przed którym musiał stanąć, taką stoczył rozmowę:

Dyrektor: Co! To już znowu was tu widzimy? A toście doprawdy niepoprawni!

Włóczęga: Proszę pana dyrektora, kiedy mnie było jakoś tęskno. Boć wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

—★—

NIC TRUDNEGO.

Opowiadał ktoś pewnemu człowiekowi, że sławny malarz Rubens umiał jednym pociągnięciem pędzla zamienić obrazek śmiejącego się dziecka na płaczące.

Na to odrzekł ów człowiek:

— Ba, to nie sztuka. I ja to potrafię. A nawet nie potrzebuję do tego pędzla, lecz tylko — rżęgi!

—★—

SZCZWANY LIS.

— Mojsze, dawaj mi za te kobyłe 200 mk.

— Ty, Icyk, myszigenie, jabym ci nie dał ani 50 marek.

— Co ci to szkodzi, zrób to dla mnie, ja jutro na jarmarku w Mościskach będę mógł się przysięgać na żonę i dzieci, że mi wczoraj dawali 200 marek, a ja nie wziął pieniędzy.



Pani baronowa Suttner, która przez całe życie popierała gorąco idee pokoju i napisała powieść głośną pod tytułem: „Złóżcie broń!” słusznie może skarżyć się obecnie: „Złóżcie zrozumieli wołanie moje „złóżcie broń“, oto widzę, że coraz większe urządzacie składy broni”.

W CUKIERNI.

Gość: Panie gospodarzu! Biją się, biją!

Gospodarz: Czytam właśnie telegramy. Wcale nie biją się... konferencya ambasadorów... Balkany!

Gość: Ale to nie Balkany! Biją się u pana w mieszkaniu, żona pana z zięciami! A ja, mieszkający obok pana spokojny lokator, przyleciałem do pana tu do cukierni, żeby zrobić jaką konferencyę pokojową...

—★—

REZOLUT.

— Piotrze! miałeś przynieść węgla ze sklepu, czego tu jeszcze stoisz?

— Szukam grajcarka, wielmożny panie!

—★—

W SĄDZIE.

Adwokat: A potem moi panowie proszę uwzględnić i ten stosunek, w jakim stoicie do mego klienta — nie da się bowiem zaprzeczyć, że oskarżony jest waszym pracodawcą!

—★—

OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE.

Adwokat: Prawdą jest, że mój klient nazwał p. X. wołem — lecz przy dzisiejszych wysokich cenach mięsa nie może to być tak wielką obrazą.

—★—

W ZAKOPIAŃSKIM HOTELU.

Lokaj: Pan z pod numeru szóstego żali się, że wskutek złego dachu woda tryska na niego przez powalę i całkiem go zmoczyła.

Gospodarz: Wstawić do rachunku dla niego jeszcze 4 korony za kąpiel natryskową.

—★—

IDEALISTA.

Najpiękniejszym tworem na świecie jest kobieta — jeśli ma pieniądze.

—★—

MIEDZY PODŁOTKAMI.

— Moja bogata mama tyle ma włosów, że nawet wszystkich razem nie nosi.

— Oho, to moja mama bogatsza, bo ma nawet złote zęby!

—★—